

Zofia Łosiewicz-Chmurowa

Pamięci Włodka Palczarskiego "Moryca"

Przegląd Pruszkowski nr spec., 61-63

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

marszu w czerwcowym słońcu w naszych ciężkich, acz przepiśowych ubrankach, można było nareszcie usiąść w cieniu, ochłodzić się i odpocząć. Zaraz zaczęły się zabawy, śpiewy, wrócił humor i werwa. Ku pokrzepieniu wycieczkowiczów zajechał zamówiony wóz, przywożący dla nas z leśniczówki mleko „prosto od krowy”. Droga powrotna upamiętniła się nieprawdopodobnie gwałtownym deszczem, który zastał nas w szczerym polu. Zmokliśmy wszyscy, ale któżby się tym martwił mając kilkanaście lat?

Byliśmy nadal rozbawieni, pełni wrażeń i marzeń o bliskich wakacjach, nie przeczuwając, że zbliża się nieuchronnie klęska, która pozbawi nas beztroskich wakacji już na zawsze.

PAMIĘCI WŁODKA PALCZARSKIEGO „MORYCA”

Moje wspomnienie nie pochodzi z lat chwały naszej kochanej „budy” im. Tomasza Zana, czyli z lat poprzedzających wybuch wojny. Przedstawię obrazek z okresu lat 1941–1943, kiedy namiastką szkoły średniej były Kursy Przygotowawcze do Szkół Zawodowych II stopnia.

Taką tylko formę nauki ponadpodstawowej tolerowali niemieccy okupanci. Nie trudno się jednak domyśleć, że pod tym tyleż długim, co idiotycznym szyldem odbywały się lekcje według programu II i IV klasy gimnazjum ogólnokształcącego. Dyrektorem był profesor Bohdan Zieliński – człowiek opatrnościowy tajnego nauczania w Pruszkowie.

Na II roku Kursów, czyli w IV gimnazjalnej, miałam szczęście znaleźć się w tej samej klasie co Włodek Palczewski o przydomku „Moryc”. Była to postać zupełnie jak z humorystycznej powieści dla młodzieży. Jego niezwykle poczucie humoru, błyskotliwe odzywki (często podczas lekcji) budziły salwy śmiechu, nawet u wykładowców, którzy nie mogli zachować powagi wobec ładunków dowcipu w conceptach Moryca.

Pisaliśmy kiedyś wypracowanie na podstawie „Quo vadis”. Temat ciekawy, ale dość trudny: przemówienie Nerona do ludu rzymskiego po pożarze miasta. Wszyscy natężają umysł do granic możliwości, zdawało się, że widać czupryny unoszące się do góry przez pracujący całą parą mózg. Nagle, wśród tej pełnej napięcia ciszy, rozlega się sceniczny szept Moryca: Rzymianie płci obojga.

Klasa ryknęła śmiechem, całe skupienie przysnęło. Nawet nasza ukochana polonistka pani Zofia Steffenowa długo nie mogła zapanować nad śmiechem.

Poza tego typu pociskami humoru w stałym repertuarze Moryca było przynoszenie do klasy żywych okazów fauny leśnej i domowej. Trzymał je ukryte za pazuchą lub w kieszeni. Był to czasem zaskroniec (można sobie wyobrazić piski dziewczyn na ten widok!), czasem wiewiórka, kociak, kiedy indziej coś fruwającego: kawka albo wróbel.

Najwięcej uciechy było z zaskrońcem. Moryc zwykle wsuwał poczciwego gada do kieszeni którejś z koleżanek zajętej rozmową, albo zachodząc od tyłu przytykał jego wąski łeppek do policzka dziewczęcia. Efekt był zawsze piorunujący a wielka uciecha dla wszystkich obserwatorów.

Wiewiórkę i kociaka pozwalał Moryc głaskać w czasie pauzy i nawet podawać coś do jedzenia. Po zakończeniu lekcji zabierał zwierzynę do domu. Okazy fruwające, jak ptaki i chrabąszcze wypuszczał dyskretnie w czasie lekcji.

– O, panie profesorze! – słychać było głos Moryca – zabłąkał się tu ptak, czy mogę go wypuścić? – pytał inspirator całej hecy patrząc okiem jagnięcia spod strzechy czarnych, zawsze rozwichrzonych włosów w oczy zdegustowanego profesora. Wykładowca chcąc nie chcąc – wyrażał zgodę i natychmiast zgłaszało się kilku ochotników do otwarcia okien. Powstawał gwar, zamieszanie i część lekcji przepadała.

Ale kiedyś Moryc przesadził: siedział na ławce, tuż koło kafłowego pieca, który w założeniu miał służyć do ogrzewania klasy, w praktyce zaś, pozostawał zimny bez względu na porę roku. Otóż

w szparę między piecem a ścianą Moryc wetknął świecę dymną, tak zwaną „żabkę”. Na lekcji niemieckiego, kiedy profesor Januszewski omawiał jedną z ballad Schillera, Moryc wrzucił za piec płonąca zapalniczkę. Rozległ się krótki syk, błysnęło na chwilę żółtym płomieniem, a w następnej sekundzie zza pieca wypłynęły gęste tumany dymu, które błyskawicznie spowiły całą klasę. Powstało piekło – piski i krzyki:

– To ogień, pali się!

– Uciekajmy!

– Otworzyć okna, prędko!

– E, to nie pożar to tylko „żabka” – uspakajał głos któregoś z kolegów.

Heca była nieprzeciętna, ale zrobiło się przykro, kiedy spostrzeżliśmy, jak bardzo przestraszył się nasz germanista, lubiany, dobry profesor Januszewski.

Oczywiście sprawa oparła się o dyrektora. Moryc chyba jakoś odpokutował swój, w gruncie rzeczy kiepski pomysł.

Nie wiem, jakie były dalsze losy Moryca. Tak niewielu z grona Koleżanek i Kolegów z tamtych lat spotkałam w dorosłym życiu. Słyszałam, że Włodek Pelczarski – nasz Moryc – był uczestnikiem Postania Warszawskiego. Jeśli przeżył, może spotkam Go kiedyś. Jeśli nie, to spotkamy się na pewno, wcześniej, czy później, z całą naszą klasą.